

Hanna Górka

Mniej więcej o tym, jak dałam się uprowadzić

*Pisanie o wierze
w trzeciej osobie
jest niezręczne¹*

Myślę, że „dałam się abdukować”, „dałam się uprowadzić”! *Racjonalność wiary* pochłonęłam – choć bywało, że musiałam zastosować „efekt tunelowania” i przebijać się z trudem przez niektóre fragmenty – w podróży pociągiem: połowę z Krakowa do domu, połowę z domu do Krakowa. Cieszę się, że mogę stwierdzić o sobie: „jestem normalna” i że mogę potwierdzić to schematem abdukcyjnym. Do tej pory mówiłam, że „swoje wiem”, choć miałam świadomość, że to wiedza innego rodzaju, niż ta, którą nazywamy „wiedzą” w naukowym znaczeniu tego słowa. Teraz wiem, że „swoje wiem”, to nic innego, jak „jestem przekonana”. „Jestem przekonana”, to nic innego, jak „wierzę”, a „wierzę”, to coś znacznie więcej, niż myślę – „(w)iarą, czymkolwiek jest więcej, sama w sobie jest już użyciem rozumu”². Hm... to piękne i zaskakująco – oczywiście, że aby móc „cokolwiek więcej”, trzeba najpierw pomyśleć. . .

¹ S. Wszolek, *Racjonalność wiary*, Wydawnictwo Naukowe PAT, Kraków 2003, s. 116.

² Tamże, s. 195.

O tym, jak wierzę

Wierzę, że rozumiałam. . . To pierwsza myśl, która rodzi się po przeczytaniu *Racjonalności wiary*. Do tej pory swoją wiarę traktowałam raczej w kategoriach pozaracjonalnych. Uważałam, że nieracjonalnie byłoby mówić, że moja wiara jest nieracjonalna, ponieważ „żyję od cudu do cudu”. Może to rzeczywiście najbardziej namacalne argumenty – argumenty *a posteriori* – skoro „doświadczenie” przekonuje, pomaga zrozumieć. Nawet niewierny Tomasz musiał zobaczyć na rękach Jezusa ślady gwoździ, włożyć palec w miejsce gwoździ i rękę do przebitego boku Pana³. Uważałam też, że nieracjonalnie byłoby mówić, że moja wiara jest racjonalna. Takie opowieści, jak „przeżyłam cud”, „zostałam cudownie uzdrowiona”, „święty Ojciec Pio mi pomógł” albo „tak i tak się stało (na szczęście) Palec Boży!”, we współczesnym świecie są publikowane w określonych czasopiśmie, czytanych przez ludzi, którzy, np. „rozmawiali z Matką Bożą” albo „widzieli Jezusa”. Tego typu wyznania, jak cudowne spotkanie, czy nieprawdopodobne uzdrowienie stanowią ich codzienność i prawdopodobnie większość z nich w ogóle nie rozpatruje wiary w kategoriach *racjonalna – nieracjonalna*. Oni po prostu wiedzą, że jest coś poza tym światem. Opowiadać im, że wiara jest racjonalna i że nie jest przejawem ludzkiej naiwności i ciemnoty, to tak, jakby mówić piekarzowi, że w jego bułeczkach naprawdę jest prawdziwa mąka! Jest też inna grupa ludzi „nieczułych”, na których te świadectwa nie wpływają, ponieważ oni wiedzą, że czego nie da się wyliczyć i zmierzyć, tego nie ma. Pojęcie cudu jest dla nich jedną wielką abstrakcją lub pewnym prostym, choć dziwnym zjawiskiem, którego wyjaśnienie jest tylko kwestią czasu, kwestią dotarcia do przyczyn. „Mistyczne doświadczenia” zaś, i w ogóle „przeżycia”, mogą być udziałem każdego człowieka, ponieważ współcześnie istnieją niesamowite możliwości: skoki na bungee, czy ciekawe, ekscytujące przygody w wirtualnym świecie. Te ostatnie zaś wcale nie muszą wskazywać na istnienie ja-

³ Por. J 20, 24–26.

kiegoś Świata – Spoza – Naszego, chyba, że jest nim rzeczywistość wirtualna.

”Pisanie o wierze w trzeciej osobie jest niezręczne”⁴. O wierze i o sobie mogłabym pisać wiele. Mogłabym zacząć od tego dnia, kiedy miałam siedem lat, dostałam skierowanie do szpitala i nie rozumiałam, co to znaczy zapalenie opon mózgowych. Przez ponad dwie doby nikomu (a wielu próbowało) nie udało się zbić mojej temperatury, która przekraczała 40 ° C. Wszystkie, ociekające lodowatą wodą kompresy wysychały na mnie w tempie, które nawet dla wprawionych pielęgniarek było nowością. Lekarze mówili, że to cud – to, że w ogóle żyję. Nagle temperatura spadła. Miałam niespotykane osłabienie, które podzielali ze mną lekarze, ponieważ zupełnie nie wiedzieli, co się ze mną dzieje i dlaczego. Znowu cud, że żyję, bo zaniki tętna, utraty przytomności, opad krwi⁵ 82, wszystko razem – niemożliwe! Ponieważ i tak „nikt nie miał na mnie pomysłu”, dostałam przepustkę na sobotę i niedzielę, pojechaliśmy z rodzicami do znajomego księdza, wspólnie się pomodliliśmy. Wróciłam do szpitala w poniedziałek: podręcznikowa temperatura, żadnych klinicznych objawów zapalenia opon, opad krwi 28. Mama w płacz, tata w śmiech, ja – do domu! My wiedzieliśmy, że to cud. Lekarze, że pomyłka laboratoryjna (82 i 28 – laborantki też ludzie) i ostra infekcja wirusowa.

Przed Maturą kłóciłam się z Panem Bogiem „klasycznie”: DLA-CZEGO JA?!! Zaczęło się niewinnie: zapalenie płuc i zbyt wysoka leukocytoza. Wtedy, niestety, trochę więcej rozumiałam. Pisząc pracę maturalną, wiedziałam już, że to nowotwór. W czasie, gdy moi znajomi przygotowywali na studia teczki z dokumenta-

⁴ S. Wszolek, dz. cyt., s. 116.

⁵ Opad krwi (OB) jest to badanie odczynu opadania krwinek czerwonych w osoczu. Zakres prawidłowej wartości OB u kobiet do 60 r. ż. powinien wynosić 3–10 mm po godzinie. Nawet w sytuacji, gdy u pacjenta nie ma żadnych objawów klinicznych, a OB jest podwyższone, szuka się u niego choroby organicznej. Przyczyną chorobową podwyższonej wartości OB może być m.in. ostra niedokrwistość, zaburzenia hormonalne, nowotwór, ostre i przewlekłe zakażenia, stany zapalne.

mi, ja przygotowywałam sobie do szpitala paczuszkę z wynikami ostatnich badań. W czasie pierwszego pobytu w szpitalu lekarze zabronili mi zdawać na studia i „w ogóle żadnych stresów”. Guz nadnercza rósł ponad centymetr w ciągu miesiąca. Chciałam zdać na MISH⁶ na Uniwersytet Śląski, ale egzamin wstępny trwał tam przez pięć dni, więc absolutnie nie chcieli mnie wypuścić. Wy negocjowałam z panią doktor, że złożę dokumenty na taki kierunek, na który egzamin będzie trwał maksymalnie dwie godziny. Któregoś dnia, gdy rodzice przyszli mnie odwiedzić, mama ze łzami w oczach powiedziała: „Ja wiem, że ty nie popuścisz z tymi studiami, więc wczoraj pomodliłam się do Ducha Świętego, żeby coś pomógł i otwarłam informator i wiesz, trafiłam na stronę Papieskiej Akademii Teologicznej, oni tam mają ustny egzamin na filozofię (...)” Ja! Na filozofii?! Nieporozumienie! Ja: pięć tysięcy słów na minutę, tyle samo pomysłów, i ta własność nazywana przez wszystkich „wszędzie jej pełno”. Filozofia: cisza, koncentracja, asceza, książki objętościowo pokonujące nawet encyklopedie. Nieporozumienie: ja i filozofia. W piątek dostałam wypis ze szpitala w Tychach ze skierowaniem na poniedziałek do specjalistycznej kliniki w Zabrze. Szybko wróciłam do domu, (dziękowałam Bogu, że nikogo nie zastałam, bo pewnie moja podróż skończyłaby się w tym samym momencie, w którym powiedziałabym o niej głośno mamie albo tacie), zabrałam wszystkie dokumenty i zostawiłam kartkę, że jadę do Krakowa i będę wieczorem. Złożyłam dokumenty na MISH na Uniwersytet Jagielloński (egzamin testowy, w sumie 3h). W sekretariacie Wydziału Filozoficznego zapytałam, czy każdy wykład poprzedzony jest mszą świętą – nie chciałam z powodu nadgorliwości stracić wiary. Został mi jeszcze jeden komplet dokumentów, więc po wyjściu z PAT-u poszłam do najbliższego kościoła i trzymając informator dla maturzystów powiedziałam Panu Bogu, że nie mogę się z Nim umówić, że „gdzie mi się otworzy, tam zaniosę dokumenty”, bo gdybym otworzyła stronę z jakąś akademią marynarki wojennej w Szczecinie albo „coś w ten deseń”, to już na starcie

⁶ Międzywydziałowe Indywidualne Studia Humanistyczne.

miałabym problem z dostarczeniem dokumentów – tego dnia upływał termin składania teczek na uczelniach. Jednak zaraz potem, wierząc w Bożą Opatrzność i Nieomyślność zaproponowałam Panu Bogu ten układ i otwarłam informator: Uniwersytet Jagielloński, Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna. Pobiełam z teczką do sekretariatu tego wydziału.

Z Kliniki w Zabrze, gdzie spędziłam ponad miesiąc, dostałam przepustki na egzaminy wstępne. Mama wypożyczyła mi z miejsciej biblioteki Kartezjusza. „Wzięłam tę listę lektur, ale to była jedyna książka, jaką mieli” – tłumaczyła. Dobrze, że egzamin wstępny nie zaczął się od pytania typu, „dlaczego wybrała pani tę lekturę do rozmowy”! Wszystko miało być dobrze – szczepienia przeciwko żółtacze, wizyta u anestezjologa, termin zabiegu. Pod koniec lipca dowiedziałam się, że mam jeszcze jednego guza – przysadki mózgowej. Wtedy pomyślałam, że Pan Bóg „stroji sobie żarty”. Rodzice przyjęli tę wiadomość stosownie do powagi sytuacji. Ja mówiłam, że dopóki guz jest mniejszy, niż mój rozum, to wszystko pod kontrolą (nie wiem do dziś, jak duży jest mój rozum, średnica guza przekraczała 1,5 cm). W porywach dobrego humoru (mimo wszystko nie brakowało mi go), zauważyłam nawet, że jestem „Hanna Guzowata”... W sierpniu usunięto mi nadnercze (guzowaty przerost nadnercza prawego, średnica guza 5,5 cm), został jeszcze guz przysadki. Dałam mu na imię Gniewomir, ponieważ lekarze nie wiedzieli, co z nim zrobić: pierwszy taki przypadek w historii kliniki – guz zdawał się być nieinwazyjny. Miałam sobie żyć, jakby nigdy nic, co trzy miesiące kontrolne badania po usunięciu nadnercza i raz na pół roku rezonans magnetyczny, żeby mieć Gniewomira „na oku”.

Zupełnie przez przypadek (w co akurat nie wierzę), we wrześniu, trafiłam na ogłoszenie o Ogólnopolskim Konkursie Literackim „Ojciec Święty – Człowiek, którego podziwiam”. Wysłałam pracę, wróciłam do domu. Mama zapytała, czy wiem chociaż jaką przewidziano nagrodę. Nie wiedziałam... Powiedziałam jej wtedy, że mam nadzieję, że wygram, w nagrodę pojedę do Papieża, on mnie

pobłogosławi i będę mieć Gniewomira „z głowy”. Konkurs był organizowany przez Dom Kultury w Bielsku Białej i Kurię bielskożywiecką, więc rodzina szczerze wątpiła w moją wizytę w Watykanie, a spekulacje na temat ewentualnej nagrody zamykały się w granicach dyplomu i tabliczki czekolady. Ja byłam przekonana (dziś mogę też powiedzieć, że wierzyłam?!) do swojej wersji przebiegu zdarzeń, bo guz, choć fizycznie nie przeszkadzał, to jednak sama świadomość bycia „szczęśliwym” jego posiadaczem bywała przytłaczająca. . . Wygrałam konkurs. Nagrodą był wyjazd do Rzymu. Spóźniłam się na zbiórkę o całą dobę (to był styczeń, a ja od października studiowałam filozofię, więc miałam prawo pomylić daty, tym bardziej, że dla mnie piątek kończył się wtedy, gdy kładłam się spać, a nie – jak dla innych, o północy; wyjazd był w piątek o 3.00, co dla mnie znaczyło 3.00 z piątku na sobotę. . .), ale znowu miałam dużo szczęścia (albo otarłam się o cud), dojechałam do Rzymu wcześniej, niż grupa wycieczkowiczów, z którą miałam tam być. Audiencja się odbyła, przekazałam Ojcu Świętemu nagrodzoną pracę, otrzymałam błogosławieństwo. Po kolejnym „badaniu głowy” okazało się, że guza nie ma. Lekarze nie potrafili wyjaśnić tego zjawiska, ja tam swoje wiem. Wierzyłam, wierzę. . . I tak żyję od cudu do cudu.

Czy wiara jest „interpretacją doświadczenia”, jak chce tego John Hick? W moim dotychczasowym życiu otarłam się o wiele innych „niewyjaśnionych zjawisk” i cudów, które – na szczęście – dotyczyły nie tylko nagłego wyjścia z krytycznego stanu zdrowia. Jednak trudno mi zgodzić się z tą myślą Hicka. Nie tylko zaciemnia się wówczas rola woli i wolności⁷. Po drugie dlatego, że doświadczenie, które tu rozumiem właśnie, jako „przeżycie cudu”, „spotkanie niespotykanego”, czy „urzeczywistnienie niemożliwego” to zbyt mało. Takie doświadczenia mogą pomóc, mogą utwierdzić w przekonaniu (w wierze), mogą dać do myślenia innym (nie mogą stanowić dla innych żadnego dowodu). Ich interpretacja nie jest wiarą. „Interpretacja doświadczenia” wskazuje na pierwszeństwo

⁷ Por. S. Wszolek, dz. cyt., s. 93.

doświadczenia, w najlepszym wypadku na pewną jednoczesność doświadczenia i interpretacji. Czy jednak jest wtedy miejsce na świadomą refleksję, na „moment racjonalności”? Pismo Świąte mówi, że to „wiara czyni cuda”, a nie cuda (doświadczenia) – wiarę⁸.

”Pisanie o wierze w trzeciej osobie jest niezręczne”⁹. O sobie i o wierze mogłabym pisać jeszcze wiele i żałuję, że po prostu „wypada” już kończyć.

Takie rzeczy nie są racjonalne. W ogóle, mówienie o tym jest nieracjonalne. – Olek trochę się denerwuje, a szkoda, bo wcale nie mam zamiaru go nawracać.

A ja śmiem twierdzić, że jesteś „zacierzwiony”, w dodatku dla ciebie racjonalność zaczyna się na doświadczeniach w laboratorium, a kończy na matematycznych słupeczkach z cyferkami.

Tak. I nie widzę w tym nic nadzwyczajnego, a powiem więcej: uważam, że w takiej perspektywie rozpatrywanie kwestii, czy wiara jest racjonalna, w ogóle nie ma sensu. Sama rozumiesz...

A pomyślałeś o babci, która całe życie spędziła w Koziej Wólce, gdzie ukończyła kilka klas szkoły podstawowej, a która jednak myśli i której nie można zarzucić, że nieracjonalnie postępuje?

Ale nie o to chodzi...

Siedzimy w kuchni przy dużym stole. Gorąca herbata dobrze robi w zimowe, mroźne wieczory. Olek studiuje fizykę jądrową na AGH. Ma się tam bardzo dobrze i tylko czekam, aż dostanie Nagrodę Nobla. Niestety, chyba „nie jest kontent”, chyba nie cieszy się, że racjonalność wiary stała się tematem naszej rozmowy, która prawie niezauważalnie popłynęła od precyzyjnie określonego obszaru fizyki (bardzo racjonalnej i najwspanialszej na świecie!) w stronę niebezpiecznych zaułków dzikiej (i pewnie bezludnej!?) wyspy wiary.

⁸ Por. Mk 5, 34; Mt 9, 29–30.

⁹ S. Wszolek, dz. cyt., s. 116.

To jest nieracjonalne, ponieważ w żaden sposób nie jesteśmy w stanie zweryfikować, czy to, w co wierzymy jest prawdą, czy nie jest – Olek argumentuje.

Zgadzam się. Ale musimy pamiętać, że na drodze racjonalnej możemy wyróżnić etap odkrycia i uzasadnienia. Odkrycie jest racjonalne i w dodatku twórcze, w odróżnieniu od racjonalnego, ale schematycznego uzasadniania, które musi odbywać się według określonych reguł. Dzierzysz pewien schemat i wykorzystujesz jego znajomość, by wykazać, że masz rację. Wiary nie da się w ten sposób udowodnić. Element odkrycia – takie „EUREKA!”, to nic innego, jak postawienie hipotezy. Tak, jak w nauce, tak samo w wierze masz do czynienia z przypuszczeniem – hipotezą.

Hipoteza w nauce nie bierze się z powietrza. Zawsze jest coś, co najpierw, w pewien sposób cię intryguje, interesuje, nie pozwala ci spokojnie spać, czy – jak wy to mówicie: daje ci do myślenia, napotykasz na pewne przesłanki i stawiasz hipotezę, że skoro jest „tak i tak”, to będzie „siak i siak” albo, że skoro jest „tak i tak”, to widocznie to się bierze stąd, że „śmak i śmak”.

W porządku. Ale wiara, w której używamy rozumu, też posiada pewne „korzenie”. Nie jest „ot tak sobie” i nie wolno ci powiedzieć, że wierzysz, „bo tak”. Musisz mieć „prawo do wiary”. Tu nie chodzi o to, że ktoś ci daje prawo albo je odbiera, to nie jest związane z wolnością. Po prostu musi być w świecie immanentnym coś, co pozwoli ci tę hipotezę postawić, pewne „namacalne zjawiska” w naszej ludzkiej rzeczywistości, pewne określone fakty, dzięki którym możesz się „czegoś” domyślić, domyślić się swojej hipotezy. Twoje przekonanie może mówić, że przyczyną faktów, z którymi masz do czynienia w świecie jest, na przykład, kłębek wełny, który nosisz w lewym bucie. Ty, ponieważ go nie nosisz, to prawdopodobnie odwołałbyś się do swojej fizyki. Mógłbyś powiedzieć, że „tak i tak” jest skutkiem entropii albo ciężenia powszechnego, czy coś tam. A ja ci mówię, że „tak i tak” jest wynikiem tego, że w lewym bucie mam ten kłębek!

W takim razie moja pozycja jest lepsza, bo jestem w stanie, w określonych warunkach udowodnić ci, że mam rację.

A jeśli po tobie przyjdzie Olek Następny i wykaże, że się myliłeś, bo „tak i tak” ma związek z „zasadą dooznaczości”, a ty w ogóle nie wiedziałeś, że taka jest, bo, w 2005, kiedy udowadniałeś pochodzenie „tak i tak” wszyscy zainteresowani znali tylko zasadę nieoznaczości?

To naturalne, ponieważ nauka się rozwija, a poza tym, ważne jest to, że, w 2005, kiedy udowadniałem pochodzenie „tak i tak”, wszystko zgadzało się ze znanymi i obowiązującymi prawami i w tym czasie, to, co udowodniłem, zostało wtedy udowodnione prawidłowo i wszystko się ze wszystkim zgadzało. – Olek jest wyraźnie zadowolony z siebie.

Jedno trzeba mu przyznać, że przez ponad dwa lata, od czasu, kiedy razem kończyliśmy liceum – wiele przybyło mu w głowie, ale jest też w nim coś, co się nie zmienia i chyba nie byłoby nawet dobrze, gdyby się zmieniło: jego Olkowatość – upór do granic możliwości, precyzja myślenia, dążenie do tego, by jednak udowodnić, że ma rację i żeby to ON postawił „kropkę nad i”. Ot, taka krótka charakterystyka postaci bez wdawania się w większe szczegóły biograficzne i te, dotyczące korzeni. . .

Taaak. . . – zgadzam się. – Ale nawet, jeśli uznamy, że twój dowód na prawdę związaną z „tak i tak” był znaczącym krokiem w całokształcie ludzkiego odkrywania Prawdy, tej Ostatecznej, Absolutnej, której istnienie zakładamy milcząco w tej dyskusji, to jednak słabym punktem może okazać się akurat ta własność weryfikowalności twojej hipotezy. W samej nauce – oczywiście – inaczej być nie może. Jednak w wypadku, kiedy porównujemy naukę z wiarą, sprawa nie jest już taka oczywista. Mojej hipotezy nie jesteśmy w stanie ani potwierdzić, ani obalić. Ona po prostu JEST. Moja hipoteza – moje przekonanie. A w tym kontekście nie mniej ważny jest fakt, że jej cecha nieweryfikowalności absolutnie nie umniejsza jej racjonalności, bo przecież stawiam moją hipotezę dokładnie tak samo, jak ty. Mój rozum wykonuje tę samą czynność, co twój

i nawet w świecie rzeczywistym możemy mieć do czynienia z identycznymi faktami. Rozumiesz. Stwierdzam, ponieważ nie mam najmniejszych wątpliwości, że Olek rozumie doskonale.

Dobrze. Teraz ja mogę się zgodzić z tobą. Ale czy w takiej sytuacji, skoro ty jesteś przekonana, że „tak i tak” jest wynikiem tego, że nosisz kłębek wełny w bucie, a Hanka Tobie Współczesna wierzy, że to kamyk, który trzyma na trzeciej półce w swojej lodówce, a Hanka Wam Współczesna jest przekonana, że z „tak i tak” mamy do czynienia w świecie dzięki nieustannej działalności Boga, to która z was ma rację? Wasze prawdy są jednakowej wartości? Czy to zaledwie przekonanie, a nie sama prawda? A jeśli prawda, to w takim razie, która z nich jest „najprawdziwszą prawdą”? – Olek patrzy na mnie zadziornie.

Myślałam już o tym... – mówię spokojnie i wiem, że mówię prawdę. – Myślałam już o tym i stając twarzą w twarz z zaskakującym twierdzeniem, że „wiara ocala Prawdę”, moja twarz naprawdę pobladła... Przynaję, że mimo zapędów humanisty, w porывach rzucającego się w głąbie metafor, takie tłumaczenie nie tyle „pachnie poezją”, co raczej „poezją śmierdzi”. Po prostu myślę, że wszystko ma swoje miejsce. Poezja też.

No, no... Gdyby mi w klasie maturalnej ktoś powiedział, że będzie chwila, kiedy usłyszę od ciebie, że gdzieś jest za dużo poezji, to bym tego „ktosia” zaprosił na piwo i wykazał w oparciu o przesłanki i swoją wiedzę o tobie, że prędzej ja uwierzę w Boga, niż ty skrytykujesz gdzieś „poezjowanie”. – Olo odchyła się w tył na skrzypiącym krześle i z dziecięcym niedowierzaniem kręci głową.

Ja tego nie krytykuję, ponieważ to ładnie brzmi, ale krytykuję to, ponieważ w tym kontekście jest po prostu niewystarczające. Przecież tu aż trzeba się zapytać, co to znaczy?

I co to według ciebie znaczy? Ja się poezją nie param, więc uchylam się od interpretacji. – Olek się śmieje.

Ciekawe, że po tylu latach znajomości, przyszło nam znowu przy stole rozmawiać o tym, co dla każdego z nas w pewien sposób

było najważniejsze. On broni wielkości rozumu, możliwości nauki, a ja, przynajmniej staram się, bronić wiary.

Myślę, że w pewien sposób już o tym powiedzieliśmy. Nie wiem, czy mam rację, ale widzę to tak, że wiara ocala Prawdę – Prawdę Absolutną, do odkrycia której nieustannie zmierzamy. Być może to „ocalanie” mieści się właśnie w tym braku możliwości udowodnienia istnienia tego, w co wierzymy. Bo jeśli w wierze nie mamy do czynienia z dowodzeniem, to w konsekwencji, postawionej hipotezy nie można ani potwierdzić, ani obalić. Nawet, jeśli ktoś obwieściłby światu, że jego przypuszczenie dotyczy Prawdy Absolutnej, to na tym skończyłoby się „obwieszczanie”. Ani ten szczęśliwiec, ani nikt inny nie jest w stanie tego potwierdzić, czy temu zaprzeczyć. Prawda zostaje „ocalona”, powiedziałybyśmy – nienaruszona.

W takim razie, ja to widzę inaczej – Olek poprawił czuprynę, a to znak, że zapowiada się na coś poważniejszego. – Wiara nie tyle „ocala” Prawdę, co raczej broni dostępu do niej, ale w negatywnym znaczeniu. Jeśli ktoś trafiłby w swym przypuszczeniu na Prawdę Ostateczną, to fakt, że nie może tego w żaden sposób udowodnić, powoduje, że ludzkość nadal się męczy, nie ma możliwości, by „już teraz”, czy po prostu w tym momencie, mówić o Prawdzie Ostatecznej. To tak, jakbyśmy przegapili coś ważnego, coś najważniejszego. . .

Tak. Ale ten sam fakt powoduje, że żaden człowiek nie ma wyłączności na Prawdę. Gdyby ktoś ją odkrył i udowodnił, to wtedy zabrałby wszystkim innym taką możliwość, a myślę, że jedną z cech Prawdy Absolutnej jest właśnie taka „ogólnodostępność”, każdy człowiek potencjalnie jest zdolny do jej odkrycia. . .

A jeśli. . .

A jeśli się z tobą zgodzę, to. . . A jednak się nie zgodzę. Ale widzę jeszcze jedno „przeciw”. Z twojej wypowiedzi wnioskuję, że wartość naukowej hipotezy jest większa albo w ogóle – jedyna, ponieważ jeśli ktoś obwieści, że odkrył Prawdę Absolutną i udowodni to, cała ludzkość zyska?

Właśnie.

Dobrze. To teraz tak: jeśli ktoś odkryje Prawdę na drodze wiary ludzkość nie może nic zyskać, ponieważ ten ktoś nie jest w stanie tego udowodnić. Jeśli ktoś odkryje Prawdę drogą naukową i udowodni to – ludzkość zyska, ale co będzie, gdy po jakimś czasie okaże się, że ten człowiek nie miał racji, że nauka znowu wie więcej i lepiej, może – inaczej, a taka sytuacja jest jak najbardziej wskazana, czy taki stan rzeczy nie jest gorszą perspektywą? Absolutna Prawda powinna być Prawdą Ostateczną, a nie chwilową.

A jeśli się okaże, że Prawda Ostateczna wygląda tak: króliczki manipulują światem!?

Chcesz mi powiedzieć, że Prawda może się okazać zupełnie inna, niż się spodziewamy?

No... Tak jakby...

To nie jest wykluczone, ale w żaden sposób nie wpływa na nasze poprzednie ustalenia, ... że tak to nazwę. Co do króliczków, to skoro manipulują światem, mamy prawo przypuszczać... Patrz, sama WIARA! – zauważam spontanicznie. – Więc mamy prawo przypuszczać, że manipulowały także nami, podczas naszej mozolnej drogi do Prawdy Absolutnej. Wtedy to, co odkrywamy, moglibyśmy poddać w wątpliwość. Poza tym, może światem manipulują koguciki, które nie chcą, żebyśmy się o tym dowiedzieli i tak nas zbałamuciły, że nam wyszło, że to króliczki – śmieję się razem z Olkiem.

Poza tym wszystkim wspólnie stwierdziliśmy, że trzeba jeszcze się zastanowić nad różnicą między wiarą, a samym momentem uwierzenia – żeby wierzyć w to, że modlitwa pomaga, muszę wcześniej uwierzyć, żeby w ogóle się pomodlić. Czy do uwierzenia wystarczy cud? Ale znowu – podobno to „wiarą czyni cuda”. W kwestii racjonalności – wiele zależy od tego, jak zdefiniujemy racjonalność. Może nawet wszystko od tego zależy? Niezależnie od światopoglądu, przekonań i sympatii, oboje wolelibyśmy, żeby nic nie zależało od króliczków, czy kogucików. Olek wie o racjonalnym świecie i wie, że nawet, jeśli jest coś poza nim, to, to coś absolutnie go nie dotyczy. Ja bardziej niż racjonalność świata, dostrzegam

piękno życia i bardziej, niż wiem – wierzę, że jest coś poza tym światem, co jednak dotyczy mnie na wskroś.

O tym, co myślę

Rozumiem, że uwierzyłam... Miałam to szczęście, ponieważ odkąd pamiętam, każdego wieczoru tata albo mama czytali mojej siostrze i mnie „Biblię dla dzieci, w obrazkach”. Miałam luksusową sytuację – rodzice swoim życiem dawali mi przykład pięknej wiary, a do tego w najbliższym otoczeniu nie znajdowałam nikogo, kto podważyłby twierdzenie, że Boga nie ma albo, że wiara nie ma sensu. W szkole średniej, w okresie buntu i rewolucjonistycznych zapędów, ja byłam już dwukrotnie „cudownie uzdrowiona”. Teodor, mój osiem lat młodszy brat, jako kilkuletnie dziecko przeżył śmierć kliniczną. Ten fakt nawet wśród „racjonalnie myślących” lekarzy wzbudził sensację. Gdy rodzice przyjechali z nim do kontroli pooperacyjnej, zwołano specjalnie personel szpitala, żeby „wszyscy mogli zobaczyć ŻYWEGO Teosia”. Kiedy moi rówieśnicy przeżywali kryzysy, zadawali pytania i poszukiwali sensu – ja „spokojnie” wierzyłam. To, o czym myślę w tym kontekście, jest dla mnie najtrudniejszym pytaniem tych rozważań: dlaczego ja miałam szczęście, dlaczego ktoś inny go nie miał?

Być może to jedynie złudzenie – nie znam dróg wszystkich ludzi, nie znam dobrze nawet kilku dróg... Być może pytania o sens, o „życie po życiu”, czy o Boga, napotykają każdego z nas? Być może są mniej lub bardziej zakryte, być może przychodzą do nas w tak odmiennych sytuacjach i pod tak różnymi postaciami, że po prostu nie jesteśmy w stanie powiedzieć, że Twoje A, było dokładnie tym samym pytaniem, co moje Z...

Olaf Pedersen w podsumowaniu swojej książki *Konflikt czy symbioza* pisze, że „(d)ziedzinę naszej wiary stanowi cały Wszech-

świat”¹⁰. Czy rzeczywiście można się z nim zgodzić? W co my dziś wierzymy? Nasza współczesność, którą tworzymy, zdaje się być chwilami tak groteskowa, że wystarczyłoby tylko zamknąć ją w okładkę, by otrzymać świat przedstawiony w dramatach Mrożka! Z jednej strony wypieramy się wiary: Jaś nie wierzy w bajki o duchach, Małgosia nie wierzy w Aniołki, Jacek nie wierzy w Pana Boga, Agatka – w życie wieczne. Wiara dla nich jest absurdem, a bycie człowiekiem wierzącym to cecha, która dziś jest spotykana u osób starszych, a jeśli nawet zdarza się u młodszych, to i tak ci młodszy, którzy ją posiadają stanowią swoisty „gatunek na wymarciu”.

Zadziwiające jednak jest to, że Jaś wierzy w bajki o „darmowych rozmowach” przez telefon. Wierzy jednej firmie, która mu powiedziała, że jeśli kupi u nich telefon za złotówkę, to będzie mógł prowadzić przez niego rozmowy, których koszty w pięćdziesięciu procentach pokryje ta wspaniała firma. Małgosia, choć nie wierzy w aniołki, to chce mieć takie same włosy, jak one. Jest więc przekonana, że jeśli będzie regularnie kupować taki jeden „super unowocześniony szampon” do włosów ze specjalną formułą – która wzmacnia włosy u nasady, a zmiękcza je na końcach – to będzie mieć na głowie wieczną burzę maksymalnie lokowanych loków (w dodatku koloru blond)! Jacek nie wierzy w Pana Boga, ale wierzy w to, że jeśli będzie kupował w takim dużym sklepie, szczególnie wtedy, gdy są w nim szczególnie duże promocje, to będzie mógł korzystnie nabyć lodówko–zamrażarkę, odkurzacz, kuchenkę, elektryczną maszynkę do mięsa, elektryczną maszynkę do golenia, najnowocześniejszy odtwarzacz DVD, a do tego wszystkiego – nie będzie idiotą (to też w promocji... taki dodatek gratis)!! Agatka nie wierzy w życie wieczne, ale robi wszystko, aby wiecznie żyć. Swoje działanie opiera na przekonaniu, że jeśli w promocji kupi siedem opakowań najnowszego proszku do prania (w tabletkach), który jest bardzo inteligentny (może nawet porównywalnie z Jac-

¹⁰ O. Pedersen, *Konflikt czy symbioza?*, tłum. i posłowie W. Skoczny, Biblos, Tarnów 1997, s. 306.

kiem?!), to nie tylko, wskutek prania odzieży w tym właśnie proszku, jej skóra będzie zawsze zdrowa, młoda, piękna i opalona, ale także wzmocni się jej organizm, ponieważ przy zakupie tego proszku otrzyma trzy jogurty light z dzienną porcją witamin, których potrzebuje i których jest warta!

I tak można by dłuugo wymieniać. Jeszcze bardziej zadziwiający jest fakt, że Janek płaci wysokie rachunki za rozmowy telefoniczne, a jednak wierzy w to, że rozmawia w połowie bezpłatnie. Włosy Małgosi wcale się nie kręcą, ale i tak jest przekonana, że przynajmniej na końcach są miękkie, a u nasady mocne. I Jacek też, chociaż wchodzi do supermarketu, „jak w kontekst uzasadnienia” i, chociaż widzi i wie, że wszystko to, w co wierzy jest odległe od rzeczywistości, to wierzy nadal, bo przynajmniej jak tam kupuje, to nie jest idiotą. Podobnie Agatka, też trwa w swojej wierze w siłę i moc różnych medykamentów, czy to piorących, czy spożywczych, które mają dać jej zdrowie, piękno, szczęście i długowieczność. Zadziwiające, że taka wiara jest bardzo popularna, powszechna i nikt nie mówi, że to absurd, ciemnota, czy naiwność?

Każdy z nas wierzy, nawet, jeśli nie chce. Wierzymy sąsiadom, że dobrze zakręcili kurki z gazem i kierowcom autobusów, że wiedzą, dokąd powinni jechać. Wierzymy w siebie, w sens podejmowanych przedsięwzięć, wreszcie – większość naszej wiedzy posiadamy tylko dlatego, że wierzymy w prawdomówność innych, że opieramy się na autorytetach. Ten typ wiary, zaufania tak nam spowszedniał, że zupełnie nie zwracamy na niego uwagi. Sprawa jest prosta, ponieważ nieskomplikowane jest życie na poziomie codzienności. To tutaj naszą wiarę, myślenie, nasze zaangażowanie ograniczamy do kwestii, które nie sięgają dalej, niż sprawa wyboru: proszku do prania, rodzaju hipermarketu i niepowtarzalnie korzystnej promocji. Na tym poziomie wierzymy w swoją religijną niewiarę, którą starannie pielęgnujemy (nie należy łączyć tej pielęgnacji z noszeniem maseczki ogórkowej, czy wizytami u kosmetyczek). Taka pielęgnacja, to przede wszystkim mozolne próby egzystowania pośród dóbr namacalnych i jakaś dziwna alergia na głębszą refleksję, dotyczącą

rzeczywistości, która nas otacza. Jaś i Małgosia, Jacuś i Agatka nie chcą zastanawiać się nad ewentualnym istnieniem Dobra, które byłoby nieporównywalne z dobrami, które znają i w działanie których – wierzą. Jeśli to Dobro nie widnieje na pierwszej stronie reklamówki marketu, to znaczy, że w niczym nie może pomóc i na pewno jest wiele innych rzeczy, które są człowiekowi potrzebne do szczęścia i wygodnego życia i o których posiadanie powinien on zadbać.

Czy wiara religijna może zrodzić się w takim świecie? Takie pytanie zdaje się być naturalne w kontekście tych rozważań i postawiłabym je, gdybym była pesymistą. Myślę jednak, że trzeba zapytać inaczej: czy w takim świecie może nie zrodzić się wiara religijna?! Czy fakt, że poruszamy się w takiej rzeczywistości nie powinien dać nam do myślenia? Czy minimum intelektualnego i duchowego wysiłku, na jaki jesteśmy „narażeni” nie powinno stać się dla nas punktem wyjścia, inspiracją, do tego, aby „zaszaleć” i zastanowić się nad życiem, jakąś inną jego perspektywą, głębszym sensem, celem i Gwarantem tej sensowności i celowości?

Myślę, że nie tylko przeżycia i doświadczenia w sferze międzyludzkiej – doświadczenie wielkości, świętości, czy cierpienia drugiego człowieka – mogą stanowić punkt zapalny dla ludzkiej wiary. Gdzieś u jej początków może stać autentyczne zetknięcie się, spotkanie człowieka ze światem. O tym, że wiara rodzi się podczas beztroskiego spaceru przez wieś pisał ksiądz Jan Twardowski. Wiara w Boga może mieć swoje źródło w dziecięcym zachwycie nad cudami codzienności, w ponownym odkryciu znaczenia najprostszych czynności, które na co dzień spełniamy, czy w dostrzeżeniu piękna, harmonii, otaczającej nas przyrody¹¹. To właśnie w porządku świata, który człowiek jest w stanie odkryć „Pan Bóg jest na serio pewny i prawdziwy”¹² i nie trzeba być wielkim naukowcem, aby poznać tę prawdę. Przeciwnie – szkiełko i oko mędrca

¹¹ J. Twardowski, *Na wsi w: Jak tęcza co sobą nie zajmuje miejsca*, A. Iwanowska (wyb.), PIW, Warszawa 1997, s. 183n.

¹² Tamże.

wcale tu nie pomagają, a mogą znacznie przeszkadzać. Na egzaminie wstępnym na studia zapytano mnie, jakich znam filozofów. Szybko odpowiedziałam, że najwspanialszym filozofem jest ksiądz Twardowski, zupełnie nie wzięwszy pod uwagę postaci Kartezjusza, którego *Rozprawę o metodzie* czytałam na okoliczność egzaminu. Komisja zareagowała serdecznym śmiechem i usłyszałam, że ksiądz-poeta i owszem, ale nie był filozofem! Nie mam wątpliwości, że wielu filozofów powiedziałyby to samo, tym bardziej, że Jan Twardowski spacerując na wsi zauważył, że Pan Bóg „tylko dla filozofów garbaty i krzywy”¹³.

Problem racjonalności wiary jest nie tylko porywający, wielowątkowy, trudny i nieustannie powracający. Myślę, że jest przede wszystkim bardzo ważny – dziś, kiedy człowiek zbyt często „kalkuluje”, kiedy bardziej ufa pamięci komputera, niż świadectwom swojej babci, kiedy gubi się pośród codzienności, ponieważ boi się zrobić coś więcej, niż tylko skorzystać ze swojego telefonu komórkowego, ponieważ brak mu odwagi, by patrzeć dalej, myśleć więcej i zaryzykować „szaloną” hipotezę (inną, niż stawiają pozostali, jeśli w ogóle to robią), że właśnie wiara czyni życie cudem, pozwala spojrzeć na świat z odmiennej perspektywy i być przekonanym, że sens wszystkiego znajduje się zupełnie poza tym światem.

¹³ Tamże, s. 184.